



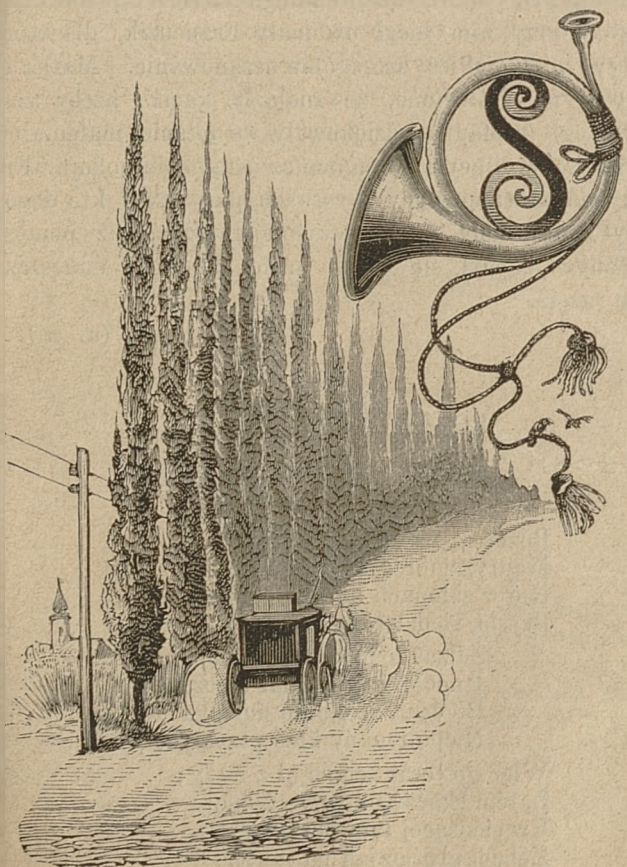
TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

SPOTKANIE.



łonce chyliło się ku zachodowi, na drutach telegraficznych siadały ptaki odpoczywając w przelocie do siedzib swoich, trąbka pocztowa przygrywała chrapliwie, a drogą równą, wysadzoną drzewami jechała szybko zamknięta karetka. Mimo ciepła i łagodnego klimatu, jakim darzy niebo środkową Francję, w karetce to zasuвано, to podnoszono okna, jakby obawiano się zbytnim powiewem wiatru zaszkodzić wątłemu chłopięciu, które młoda, w żałobne szaty ubrana kobieta, okrywała ciepłym miękkim szalem, przytulając do siebie i pytając co chwila:

- Czy ci dobrze teraz Stefanku?
- Dobrze mam — odpowiadało cichym szeptem chłopię.
- Czy ci się spać chce? — pytała znów matka, patrząc trwożliwie w bladą twarz chłopca.
- Nie, nie, tylko nie chcę mi się mówić i oczu otwierać nie chcę.

I przymknąwszy powieki, których długie rzęsy rzucały cień na bladą twarzyczkę, chłopiec wyciągnął cienkie jak patyczki nogi, które siedząca na przodzie służąca otuliła zaraz miękką wigoniową kołdrą.

— Zdaje się, że usnął! — szepnęła po chwili matka, spojrzawszy na siedzącego obok niej obstawionego poduszkami chłopczyka, i nieznacznie łzę z oka otarła.

— Ach! niechże się pani nie martwi i nie płacze — mó-

wiła służąca — da Bóg jeszcze naszego Stefanka zdrowo do kraju przywieziemy!

— Da Bóg, da Bóg — powtórzyła ze smutkiem matka — wszystko to w rękę Jego. Wiesz jednak, moja pocziwa Jędrzejowo, ile strat w przeciągu roku poniosłam; to i serce drży na widok tego ostatniego chorego dziecięcia.

— Oto proszę pani, gdyby to można tylko przewieźć jak najprędzej naszego Stefanka tam nad Dunajec w nasze góry, toby mu się zaraz odmieniło. To już tak: rybie w wodzie, ptakowi w powietrzu, a ludziom we własnym kraju zawsze najlepiej! — mówiła wdychając Jędrzejowa. Przecie ja zdrowa i tegą byłam niewiasta, a od czasu jakęśmy tutaj przyjechali, to mnie połowę ubyło, a wyblichowałam się też jako płótno, kiedy je na trawie położą, pewnieby mnie i moje dzieciaki tak od razu nie poznały! — dodała wdychając.

— Moja Jędrzejowa, i to też dla mnie ciężkie zmartwienie że was tak długo ze sobą trzymałam — rzekła pani patrząc z dobrocią na siedzącą przed sobą kobietę; — ale jak tylko dojedziemy do Lyonu, to tam przy pomocy krewnych, wyszukam sobie jaką pocziwą kobietę, żeby mi pomogła około chorego dziecka, a wy powrócicie do swoich.

— Och dla Boga, co też to pani mówi, a cóż to ja złego zrobiłam, żeby mnie pani od siebie wyrzucała, czym to nie wychowała Stefanka? a był rumiany jak jabłuszko, a żwawy jak źrebię; teraz się tu taj przez te dwa lata tak zmizerował. A choćby mnie pani nie wiem jak wypędzała, to ja nie pójdę, a ino ciągle powtarzać będę, żeby chłopca wziąć napowrót nad Dunajec, to zaraz mu się odmieni.

— Pani już nic na to nie rzekła, tylko kiwnęła głową, tak, jak się to robi, kiedy się nie chce z kim sprzeczać, a zagłębiwszy się w powozie spoglądała od czasu do czasu na śpiącego obok niej chłopczyka. Wkrótce powóz stanął przed domem zajezdnym, jakie spotyka się łatwo na drogach Francyi. Dłużej nad dwie godziny nie kazali lekarze wieść chorego, obawiając się dla niego znużenia; młoda matka, która przyjechawszy z Galicyi do przebywającego we Francyi męża, niedawno i jego i maleńką córeczkę pochowała, nie dziw, że drżała o dwunastoletniego Stefanka, który gasł widocznie w jej oczach.

Straciwszy swoich ukochanych, nic ją już nie wiązało do pięknej Francyi; chciała powracać jak najprędzej do kraju, lecz doktorzy straszili ją, że to będzie zgubą dla chorego chłopca i wysyłali na południe Francyi, pod cieplejsze niebo. Stroskana matka słuchała tej rady i wiozła z całą ostrożnością chorego, na przeznaczone kuracyjne miejsce. Gdy więc karetą stanęła, wyniesiono ostróżnie rozbudzonego chłopczyka, chroniąc, aby go chłód wieczorny nie owionął. Lecz na progu oberży powitał ich gospodarz, grzecznie się kłaniając i prosząc, aby dalej nie wchodziły. Wybaczcie panie, mówił, mamy gości którzy chcą pozostać sami.

— Ależ my nie chcemy ich towarzystwa — tłómaczyła skłopotana kobieta — pragnę tylko maleńkiego pokoiku, gdziebym mogła złożyć mego chorego synka.

— Ależ kiedy go niema — mówił zginając się w pół w ukłonie gospodarz — wszystkie pokoje są zajęte.

— Pozwól pan, pójdę poproszę twoich gości to mi ustąpią jakiego kącika — mówiła nieszczęśliwa matka.

— Niepodobna łaskawa pani, niepodobna. Są to bardzo znakomite osoby, ½ nie możemy przyjmować nikogo jednocze-

śnie, zakazano nam tego — wymawiał się gospodarz zasłaniając sobą wejście.

— Ech, co ja tam na to zwać będę! — zawołała po polsku z całą rubaszością Jędrzejowa, która doskonale rozumiała całą rozmowę. A choćby też nawet i sam cesarz przejeżdżał, to przecie użyć miejsca dla naszego Stefanka. Ja ci się też właśnie pytać będę! — dodała. I oparłszy chłopca, którego dotąd podtrzymywała na stojącej obok matce, odepchnęła broniącego wejścia gospodarza. W sieni zatrzymała się na widok ślicznego jak aniołek sześciolatniego chłopczyka i stojącego obok poważnego bardzo mężczyzny. Nie strwożyła się jednak ich widokiem nasza wieśniaczka, a kiedy gospodarz kłaniał się i przeproszał, że ktoś obcy śmiały wejść do domu, Jędrzejowa w wielkim zapale zaczęła rzecz swoją po polsku przedstawiać, zapomniawszy, że się znajduje we Francyi i nikt jej mowy nie rozumie.

— Czegoż chce ta dobra kobieta i jakim ona mówi językiem? — pytało dziecię.

— *Polonais, polonais* — odrzekła niezmiészana chłopka, *garçon malade* — dodała wskazując na upadającego ze zmęczenia Stefanka.

— Takiż on osłabiony, ależ on upadnie! — zawołało dziecię. I zanim dozorujący ochmistrz zdołał go powstrzymać, był już przy Stefanku i podtrzymywał go słabemi rączkami.

— Dziękuję ci mój aniołku! — wyrzekła po francuzku matka patrząc na maleńkiego pomocnika, a podniósłszy oczy na otaczających ją kilku różnego wieku ludzi, będących snąc jak i ona podróżnymi, prosiła o ustąpienie jakiego pokoju.

— Ależ naturalnie że tak być musi, odstąpię mu mego pokoju lub też pomieści się razem ze mną, Noris'ie trzeba go zanieść do mnie — mówił chłopczyk, odwracając się do stojącego opodal kamerdynera.

Nie czekano jednak, ażeby się Noris przybliżył, bo któryś z otaczających panów, wziął chorego na ręce i poniosł go do pokoju a przy nim biegł ów mały Francuzik, dla którego wszyscy mieli jakieś szczególne uszanowanie. Matka i Jędrzejowa uszczęśliwione, że znalazły kącik, ażeby złożyć osłabionego Stefanka, dziękowały serdecznie małemu opiekunowi, i otaczającym go panom za ustąpienie pokojn. Francuzik jednak samowolny i rozkazujący, jakby kto dorosły, nie był zadowolony, iż najpoważniejszy wiekiem z pomiędzy podróżnych, oparł się temu, ażeby Stefanka umieszczono z nim razem.

(d. n.)

SPRACOWANA TRÓJKA.

1.

Różne są na świecie stany:
Mądry, dobrze wychowany,
Nie w salonach ani w puchach,
Brysio, siedział na łańcuchu;
Że zaś było to w gorąco,
I noc przesną miał męczącą
Bo czuł, że się do kurnika
Niepotrzebny ktoś przymyka;
Więc go teraz sen zdjął z nudy;
Zatém skoczy na wierzch budy
I w siedzącej tam postawie,
Zębem grożąc jak na jawie,

Ry widziano go z daleka
Ze na wrogów gotów czeka,
Obowiązków czując brzemię,
Bryś, stróż domu, lekko drzemie.

2.

Noc w noc wielkie wiodąc łowy,
Nie koteczek pokojowy
Ale dzielny kot Mruczydło,
Groza myszy i straszydło,
Spiżarniany stróż prawdziwy,
Kędy, o, potężne dziwy!
Broni sadła i słoniny
Sam nie liżąc ni kruszyny:
Gdy po łowach nie na żarty
Sen go zbiera nieprzepartry,
A on wie, że na tej ziemi
Warto w zgodzie żyć z silnemi,
Tedy też na budę skoczy,
Siada, mruczy, zmruża oczy,
I o Brysia wsparty nogi,
Drzemie myszołowca srogi.

3.

Po pół dniowej zwózce siana,
Szkapka, ciężko spracowana,
Gdy już ledwo z trudu dyszy,
W południowej przecież ciszy,
Na spoczynek stanąć może.
Koło budy przy oborze,
O wierzeje wsparty nowe,
Lekko na psie kładąc głowę,
Ze zmęczenia dysząc głucho,
Kotowi dmucha w ucho,
A kot wiedząc co to znaczy
Coraz stawia je inaczej,
Ale z miejsca się nie ruszy;
Chociaż gdy kto dmucha w uszy.
To nikomu nie jest miło;
Jednak gdy się z kim już żyło,
To już starzy przyjaciele
Wybaczą sobie wiele.
Tak przyjaciół trójka drzemie
Obowiązków czując brzemię,
A patrzący nań z daleka
Mówi człowiek do człowieka:
— Ejże bracie, czy my ludzie
Którzy także żyjem w trudzie
Obdarzeni przytém hojnie,
Mamy prawo tak spokojnie
Drzemać, jak tych zwierząt troje,
Obowiązki pełniąc swoje?

DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dokończenie).

— Najprzód tedy proszę do mego pałacu! — ozwała się wesoło, prowadząc gości do chatki rozszerzonej i przebudowanej cokolwiek na nowo. — Tu na lewo z sionki ceglami wyłożonej mam kuchenkę, zarazem mieszkanie poczciwej Marciniowej, co była starościana na weselu moich rodziców, a teraz, wydawawszy za mąż i pożeniwszy synów swoich, do mnie się przeniosła.

— Boś mi tak miła, jak rodzone dziecko, złotko moje... — ozwała się stara, patrząc serdecznie na Dosię.

— Na prawo jest mój salon, proszę państwa!

— Cóż to za miluchny pokoik — zawołała Melunia — masz tu białe firanki i doniczki z kwiatami! A jakie ładne kosze z kory i szyszek! O, tu już znać artystkę, prawda ojczulku? Sofka dywanem przykryta, lampa wyborna; a cóż to! znów postument z szyszek i kory, lakierowany. Jakie to gustowne! I półki tak samo przyozdobiłaś, a na nich książki, tu znów stolik z robotą! Aha! i ołówki!

— Czasem mi wypadnie narysować desenik jaki; albo formę krawiecką, to moje arcydzieła teraz; ale proszę dalej. Tu w alkierzyku mam sypialnię, a teraz musimy wyjść do sionki, żeby zobaczyć moją pracownię, przerobioną ze stajenki dawniejszej, ale w zimie tu ciepło, bo grzeje piec z kuchni, i jasno, bo ogromne okno zrobić kazałam. Tu moje dziewczątka szyją, przędą wełnę i robią z niej pończochy albo rękawice; przytém coś czytamy albo rozmawiamy. Jedną z robotnic jest Śurka córka arendarza; szyje już wybornie, a w dodatku czytać się nauczyła, bo sprytna i pracowita dziewczyna. W lecie pomagają mi dziewczęta w ogrodzie: oto i dziś pielęgrządkę dwie z nich; tylko wstydzą się śpiewać przy gościach, ale zwykle wszystko to wyśpiewuje aż miło. Jedną maleńką zwykle biorę, żeby mi kur pilnowała, inaczej wygrzebują wszystko w ogrodzie, a takie ładne czubutki, że się rozstać z niemi nie mogę.

— No jakże, i tak sobie dajesz radę z tём gospodarstwem, że ci coś zostaje na utrzymanie? — spytał ciekawie pan Malicki.

— A naturalnie! Z początku opłacałam najęcie chatki i gruntu, sprowadziłam szczepy i nasiona ze swego zapasu, ale teraz mam już wcale dobry dochód, a co to będzie, gdy założymy pasiekę, da Bóg! Stefanka już muszę zabrać z miasta w tym roku; poduczył się chłopak przez cztery lata, a boję się, żeby mi go nie rozbałamucili i nie namówili, by tam został.

— A gdzie go pomieścisz w tym swoim pałacu? — spytała Melcia.

— Tymczasem odstąpimy mu pracownię, a jak się okaże, że dobry z niego stolarczyk i będzie miał zimą robotę prócz ogrodnictwa, to się postaramy o jedną jeszcze izdebkę tu z boku.

— To się dzielnie zagospodarowujesz, moja dziewczeczko — rzekł pan Malicki, głaszcząc główkę Dorci, która się schylić musiała do tej pieszczoty, bo wyższą była znacznie od Melci nawet.

— Powiedzże sama, Matyldziu, czy tu nie ładnie?

— Prawdziwa sielanka — odrzekła pani Malicka z uśmiechem łaskawym, przez lornetkę przypatrując się apartamentom Dosi.

— Nie śmiem prosić do mego ogródka, ale nie mogę wytrzymać, żeby się nie pochwalić, tём co będzie, bo tём co jest to jeszcze nie warto. Ja to najczęściej przez okno wyskakuję, lecz państwa łaskawych lepszą drogą zaprowadzę, przepraszam. I pobiegła przodem, wskazując ścieżkę z ganku w koło i przez małą furteczkę do ogrodu. — Mam kilka świerków i brzózek; Stefanek nasadził grabów na żywopłot; tu mam trochę kwiatków pod oknami, ale dalej same dobre rzeczy; jagody i jarzyny, bo to się sprzedaje, a ja muszę mieć pieniądze, najprzód dla tego, żeby siebie i Marciniową wyżywić, a potém, by ludzie nie mówili, że się tylko bawię moim ogrodem, jak to z początku wymyślali. Tymczasem z ogrodu lepszy dochód, niż z pola. A jeszcze jak mieć będę pszczoły i szparagi, no, to nawet nie powiem jakie sobie świetne plany układam.

Tymczasem wrócili wszyscy do pokoju, a pan Malicki rzekł:

— Cieszyłaby się nasza Michasia, gdyby teraz swoją wychowanekę zobaczyła!

— To też mnie się nieraz zdaje, że nasza droga pani na mnie patrzy — szepnęła Dosię ze łzami w oku, spojrzawszy na dużą fotografię, zawieszoną na ścianie. — Tu mam całe moje ukochane towarzystwo! — dodała, wskazując na fotografie wiszące w gustownych, drewnianych ramach; ale wolę dziś i zaczęła całować ręce państwa Malickich i pani

Nowostawskiej, a Tolcia i Melunia uściśniły serdecznie dzielną, a tak miłą i na świecie użyteczną dziewczeczkę.

Na wieczór zabrano Dorcię do dworu, a nazajutrz zwiędzać miano ochronkę założoną przez Tolcię dla małej dziatwy wiejskiej, zostając pod nadzorem stariej, poczciwej kobiety i jednej starszej dziewczynki, podczas gdy matki ich zajęte były w polu. To też w Nowostawce nie słyhać było o tych okropnych wypadkach spalenia żywcem albo pogryzienia malutkich, zostawionych bez opieki dzieciak. Koszta były małe bardzo, bo gospodynie chętnie się składały na wyżywienie staruszki, a chatę z ogródkiem najmował dwór.

Cóż nam jeszcze zostaje do powiedzenia o Dosi?... Dążyła wytrwale do spełnienia swych projektów, a Bóg jej błogosławił widocznie we wszystkiem. Brat stał się jej pociechą i pomocą: zamiłowany w ogrodnictwie, zimą prócz tego zajmował się stolarką, dostarczając mieszkańcom wioski swojej i okolicznych sprzętów porządnie i trwale wykończonych; Dorcia i w tém mu dopomagała radą lub rysunkiem gustownym. Stryj tymczasem, skruszony nieszczęściami, jakie nań spadały, bo mu się nie chowały dzieci i żona ciężko zaniemogła, postanowił zwrócić sieroteczce to, co niesprawiedliwie jej zagarał; napisał tedy list, zrzekając się gruntu i chatki, a prosząc tylko, by mu rocznie wypłacano niewielką sumkę. Korzystając z tego rođenjeństwo zakupiło nowy kawał gruntu, rozszerzając ogrody swoje.

W Nowostawce też ważne zaszyły zmiany: Tolcia poszła za mąż za zacnego i wykształconego obywatela z dalszej okolicy a matka miała do niej pojechać, ale zachorowała i pielęgowana najczuliej przez Dorcię, zgasła, pobłogosławiwszy ją wraz z własnymi dziećmi. Teraz objął gospodarstwo pan Karol, który często zaglądał do Poradowa, a tymczasem zaczął stawiać wzorowy tartak w lesie swoim.

Melci kwiaciarstwo szło wybornie, a za pomocnicę wykształciła sobie Salkę, która wyszła na porządną wcale dziewczynę. O Mundziu dotąd nic pocieszającego powiedzieć nie możemy: szkół żadnych nie skończył, ale za to nosić zaczął złote binokle i palić po kilkadziesiąt papierosów na dzień; dostają mu się częste napomnienia od siostry, ale te nie wiele skutkują. Ostatnie wiadomości jakie nas doszły o Dorci, są te, że się zbierała posłać na wystawę do Warszawy przesłiczne konfitury, suszone jagody, olbrzymią jakąś marchew, wiśniak własnego wyrobu i jeszcze tam jakieś specjalny, przy których pożegnamy naszą miłą przyjaciółkę. Ach prawda! Panna Pichon uszczęśliwiła swą ręką jakiegoś fabrykanta rękawiczek, a panna Honorata dotąd narzeka na zepsucie rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza młodych dziewczątek.

O listach i tłumaczeniach A. E. Odyńca.

p. Z. Morawską.

(Dokończenie).

Niemniej malowniczym i pełnym życia jest wyprawianie gońca mającego powołać klany na miejsce ogólnego zebrania:

Śpiesz, śpiesz, Malizie! po skałach i darni
Niech jako sarna mknie obów twój sarni!
Śpiesz, śpiesz, Malizie! jak łuk twój myśliwy,
Nateż u kolan żył ciągłych cięciwy;
Chyl się jak jeździec, gdzie droga się wzgórzy,
Pędź w dół z gór szczytu, jak potok po burzy;
Z kępy na kępę, gzygzakiem błyskawic,
Migaj jak ogień nad grzęzią trzęsawic;
Sadź przez strumienie, jak jelen przed chartem,
I jak chart śmigaj po polu otwartem!
Choć głąb bezdenna, choć przestwór szeroki,
Skacź! nie czas mijać rozpadlin opoki;
Choć tchu brak w piersiach, choć mdlejesz od znoju,
Bieź! nie czas w chłodzie spoczywać u zdroju;

Zwiastunie wojny, krwi, żalu i trwogi,
Pędź wprost przed siebie, bez śladu i drogi! —

A trzeba wiedzieć jeszcze, że poeta nasz obok wierności dla oryginału umiał w przekładzie swym dobrać wyrażenia, które nieraz dosadniej jeszcze niż w oryginale malują przedstawiony tam obraz. Ustęp powyższy przytoczony należy do takich.

Na zakończenie rzeczy o Dziewicy Jeziora, damy tu jeszcze opis obrony wyspy gdzie górale skryli swe mienie i rodziny, nie wątpiąc, że ci z naszych czytelników którzy umieją już ocenić piękność poezji, chętnie przeczytają te wyjątki i one staną się dla nich zachętą do poznania się kiedyś z całością tych najpiękniejszych w naszej literaturze przekładów.

„Ruch w Saksonach: — krąg gromadzą,
Wodze w środku — znać, że radzą,
Po jeziorze wzrok prowadzą.

Moraj wyszedł, wznosi włócznie,
Wskazał wyspę, i niezwłocznie
Gniewem zdjęty mówić pocznie:

„Patrzcie! wyspy nikt nie broni:
„Tam się plemie zbójców chroni,
„Tam swe skarby mają oni!

„Kiesę złota daję temu,
„Pławaczowi odważnemu,
„Co przebrnąwszy wpływ przez wodę,
„Z czółnem wróci po nagrodę.

„Tém uskromim bunt tój dziczy:
„Wilk nam u stóp zaskowyczy,
„Po swych dzieciach, po zdobyczy!” —
Młody łucznik wskok wybiega,
Zrzucił odzież, i wprost z brzegu

W wodę nurka dał.

Gall i Sakson zamiar baczy:
Głos tryumfu, krzyk rozpaczy,
Wzniósł się z głębi skał.

Płacz niewieści i jęk w dali,
Poklask zbrojnych rąk po fali,
Na powietrzu wrzask górali,
Jednym echem brzmiał.

Jakby hasła czekał w chmurze,
Piorun błysnął, zagrzmiął w górze,
Wiatr zaświstał: — Katrin cały
Wre i kipi, jak śnieg biały.

Dla pławacza szczęściem fala,
Wziąć go na cel nie dozwala;
Bo wraz z deszczem Gallów strzały,
Jak deszcz gęsto, wkrąg padały.
Próżno, próżno! on uchodzi!
Wprost ku wyspie, wbrew powodzi,
Już dopłynął — sięga łodzi.

W tém błysnęło; — błyskawica
Cały wyspy brzeg oświeca.

I ujrzałem — w porcie stała
Dunkragana wdowa śmiała,
W prawej ręce stal błyszcząca.
Pociemniało; — w tém z daleka
Usłyszałem jęk człowieka.
Błysło znowu; — trup Saksona
Pływa z falą, a matrona
Stoi nad nim, krwią zbroczona.

„Zemsta! zemsta!” Sakson wrzasnął,
Gall z tryumfem w ręce klasnął.
I z obu stron krzyk „do broni!”
I z obu stron miecz już w dłoni.
Zemsty chciwe, na krew skore —
Nic im burza! — w dół i w górę,
Biegną, lecą... — Wtém ujrzałem,
Jeździec z dala pędzi cwałem;
W mgłę od konia, jakby w chmurze,
Biały sztandar trzyma w górze;



Spracowana trójka (str. 290).

Dwóch trębaczów posłał wprzód,
 Trąbią rozejm, hasło zgody;
 Gонец w króla imieniu:
 Każe wstrzymać bój śmiertelny,
 Bo już Duglas, Rodryk dzielny,
 Są u króla w więzieniu”. —

Nie mniej zajmujące dla nas będą wyjątki z Mazepy, z postaci nieomal legendowej domowych dziejów naszych XVII stulecia. Mazepa, młodziutki paź Jana Kazimierza, popadł w niełaskę u jednego z możnych panów. Ten, dogadzając swojej fantazyi, a opierając potęgę na samowoli, jaką się cieszyło wówczas możnowładztwo, kazał pazia przywiązać do grzbietu świeżo sprowadzonego ze stepu nieujęźdzonego konia i puścić w świat. Koń leciał dnie całe z nieszczęśliwym nie mogącym ruszyć się jeźdźcem; wpadł na step; tabun koni ujrzawszy na spienionym towarzyszu człowieka, zląkł się i na jego widok pierzchnął bezpowrotnie. Rumał uszedł pogoni wilków, przepłynął rzekę, wreszcie padł nieżywy. Przywiązany do jego grzbietu Mazepa, nie mógł się oswobodzić z krępujących go więzów, czekał, aż go żywcem szarpać zaczęły sępy i kruki. Inaczej się jednak stało. Oswobodzony przez rodzinę kozacką, stał się hetmanem kozaków i w późnym wieku poszedł na pomoc Karolowi XII szwedzkiemu, przeciw Piotrowi W-mu.

Na tej opowieści osnuł angielski poeta Byron prześliczny swój poemat, a Odyńce tak go po mistrzowsku przełożył, iż gdy słyszymy jędrne i barwne opowiadanie Mazepy, zdaje się, iż niepodobna, ażeby ono z obcej mowy było przełożone. Każdy wyraz, zda się wziął początek w myśli i w mowie poety. Tak na przykład, gdy po klęsce pod Poltawą opisuje odpoczynek w towarzystwie pokonanego króla:

Gdy tak koń pasł się, Mazepa tymczasem,
 Wsparłszy o gałąź dzidy swojej drzewce,
 Wyjął krucice zatknięte za pasem,
 Spojrzał, czy suchy był proch na panewce,
 Czy ostre skałki, czy spust niezawodny.
 Szablę swą potem otarł z rosy chłodnej,
 Brzeszczot i pochwę, i z olster u siodła
 Dobył chleb suchy i wodę ze źródła;
 I jakby krajczy wśród dworskiej biesiady,
 Obdzierał króla i resztę gromady.
 Król gwałtem uśmiech wymógłszy na czole,
 By się zdać wyższym nad ból i niedolę,
 Przyjął swój udział i rzekł: „Wyznać trzeba,
 Ze choć nam wszystkim nie skąpiły nieba
 Sił i wytrwania: nikt z nas w tej pustyni,
 Mniej nie rozpocznie, a więcej nie czyni.
 Jak ty, Mazepo! przykład twój co chwila.
 Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.
 Od Aleksandra i od Bucefała,
 Dzielniejszej pary ziemia nie widziała,
 Jak ty i koń twój; a od przodków Scytów,
 Godzieneś jeźdźca najpierwszych zaszczytów!

Przepyszny również jest ustęp, gdy Mazepa na rozkaz króla opowiada, dzieje swojej młodości, więc naturalnie jak z przywiązaniem młodzianaszkiem do grzbietu dziki koń w step pędzi:

Tymczasem dalej i dalej bez toru
 Koń mój, jak wicher, jak błysk meteoru,
 Leci i leci: wsie, ziemia uprawna,
 W tyle za nami zostały już zdawna.
 Przed nami w koło, jak oko zasięga,
 Step równy, pusty, w końcu widnokrega,
 Przezemglę tylko widać, że jak pasem,
 Sinym po bokach otoczony lasem —
 Niedawno jeszcze óma krymskich Tatarów,
 Wracając z Polski z jeńcami i łupem,
 Dognana wpośród tych dzikich obszarów,
 Przestrzeń ich w koło zasłała swym trupem.
 Oprócz ich mogli widzianych z daleka,
 Żadnego śladu, ni dzieła człowieka.

My lecim, lecim; już przeszedł wschód słońca,
 Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca,
 Słyszę świst w uszach, lecz nigdzie powiewu,
 By nim choć westchnąć, a koń, chrapiąc z gniewu,
 Leci i leci! Mdłość głowy zawrotu
 Owładła członki; zimne krople potu,
 Leją się ze mnie; — Chcę mówić medlitwy —
 Próżno! Koń leci; myślę, że się znuży.
 Że zwolni biegu; że takiej gonitwy
 Nad dwie, trzy godzin, nie wytrzyma dłużej.
 Próżne nadzieje! ciężar ciała mego
 Był niczem — owszem — był bodźcem dla niego.
 A ruch mój każdy, skorom się odważał
 Poruszyć na nim — czułem jak pomnażał
 Pęd, i strach jego, i gawew jego pychy.
 Próbuję głosu: słaby był i cichy;
 Lecz na dźwięk pierwszy, jak rażony strzałem,
 Koń drgnął, podskoczył, a z wściekłym zapałem
 Pędził tem chyżej, — i na każde słowo,
 Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową.
 Powrozy w ciało coraz głębiej grzęzły,
 Aż krew przyskakając, zbroczyła ich węzły;
 A jakby ognia żywego płomienie,
 Pierś mi i usta paliło pragnienie!

Dużo bardzo jeszcze pięknych ustępów znaleźlibyśmy w przekładach Odyńca, nie podajemy ich jednak, nie chcąc zatrzymywać czytelników naszych zbyt długo na jednym i tym samym przedmiocie. Nie wspominaliśmy również o jego utworach oryginalnych wierszem, których sędziwy poeta kilka tomów zostawił; obiecując sobie później do tego przedmiotu powrócić.

Na zakończenie raz jeszcze zalecimy listy Odyńca, jako wzór pięknego swobodnego stylu, przypominając, że piękne ze zrozumieniem myśli autora tłumaczenie, równa się prawie wzorom oryginalnym. *Lecz pięknie tłumaczyć nie jest rzeczą tak łatwą; do każdego zaś tłumaczenia trzeba przedewszystkiem znać doskonale nie tylko obcy, lecz i własny swój ojczysty język.*

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Jedna z prenumeratorek naszych, litewska Śnieguła z nad Limmatu przesłała nam opis odbytej obecnie podróży przez Wiedeń do Szwajcaryi, gdzie ma jakiś czas pozostać, podaje mi tu więc z niego niektóre wyjątki:

...Jak pod względem piękności widoków, jak i ludzkiej doskonałości, Zurich jako też i część Szwajcaryi przez którą droga nasza prowadziła, niezupełnie odpowiada naszym wyobrażeniom z góry o tym kraju powziętym, być może, że tylko bezpośrednio po napatrzaniu się na cudne szczyty Tyrolu, czarowną drogę przez Arlberg, piękne gmachy Wiednia, na zgrabne Wiedenki i pełnych grzeczności wesołych Wiedeńczyków.

Skoro się tu trochę lepiej rozpatrzymy i lepiej miasto i ludzi poznamy, może się nasza opinia trochę odmieni, wolę więc teraz zostawić w spokoju pocziwych Szwajcarów, a podzielić się wrażeniami z Wiednia.

Jakkolwiek bądź osoby które widziały Paryż mówią, że je wcale Wiedeń nie zachwyca, ja, do tąd przynajmniej, nie mogę sobie wyobrazić, aby mogło być coś piękniejszego od niektórych dzielnic tego miasta, od jego kościołów, ogrodów, gmachów publicznych i pomników.

W samym jego centrum, wśród starożytnego i głównego cyrkułu miasta, stoi wspaniała katedra pod wezwaniem św. Stefana, gotyckiej architektury z olbrzymią wieżą, która jest jedną z najwyższych budowli świata. Z tej wieży można ogarnąć wzrokiem całe miasto.

Główna dzielnica środkowa oddzielona jest od przedmieść i opasana wkoło olbrzymią ulicą zwaną „Ring-strasse”, gdyż otacza miasto jak pierścieniem. Przy tej ulicy (dzieliącz

się na ośm części każda z inną nazwą), znajdują się między innymi główne gmachy jak: zamek cesarski z ogrodem, ratusz gotyckiej architektury, uniwersytet, teatr zamkowy nowo wybudowany, dwa muzea też jeszcze nie otwarte dla publiczności, oraz dom wsparcia, na miejscu spalonego teatru, założony przez cesarza Franciszka Józefa. W środku tego pięknego budynku jest kaplica, a po obu stronach mieszkania dla rodzin dotkniętych w czasie katastrofy.

Oprócz tego są tam mieszkania prywatne z których dochód obracany jest na cele dobroczynne.

Przy Opernringu stoi przepyszny gmach opery, z dwoma z brązu odlanymi pegazami wiozącymi muzy, na wierzchu frontowych arkad. Dalej przy Parkringu park miejski bardzo piękny choć bardzo mało w nim cieniu, znajduje się tu piękny pomnik Szuberta.

Naprzeciw parku stoi muzeum przemysłu i sztuki. Są w niem arcydzieła rąk ludzkich ze wszystkich stron świata i z różnych czasów; począwszy od waz etruskich, aż do eleganckich nowożytnych szklanych wyrobów; od greckich marmurów do terazniejszych gipsowych modelów, od starożytnych haftów złotem i srebrem do najmodniejszych brokateli i adamaszków, i tak dalej. Muzeum stoi nad brzegiem maleńkiej rzeczki zwaną „Wienfluss”, która za czasów obronnych Wiednia, służyła za fossę, a obecnie prawie jest sucha, źródkiem tylko płynnie maleńki czysty strumyczek.

Z przechodzących ponad nim mostów, godnym jest uwagi: „Elizbethbrücke” z posągami królów po obu stronach. Niedaleko tego mostu stoi piękny kościół św. Karola z okrągłą kopułą i dwoma kamiennymi filarami pokrytymi rzeźbą starożytną. W tym kościele lubiliśmy być, gdyż dziwnie jest miły, nie przeraża swoim ogromem jak i powagą, jak katedra lecz wzbudza jakieś niewysłowione uczucie spokoju i ufności. W wielkim ołtarzu umieszczone Oko Opatrzności, rozsięwa wokół promienie które przechodząc przez obłoki oświecają piękną postać św. Karola. W dwóch bocznych kaplicach obrazy wniebowzięcia N. M. P. i sądu ostatecznego. Cały kościół wyłożony czerwonym marmurem i ozdobiony freskami. Chór otoczony półokrągłą marmurową balustradą zawiera przepyszne organy i miejsce dla muzykalno wokalnego chóru, który tam jest piękniejszy niż w innych kościołach, gdyż jako w najbliższym od konserwatorium co niedziela zbierają się w nim uczniowie.

W konserwatorium byliśmy na egzaminach i na uroczystém rozdaniu nagród. Słyszałyśmy tam dziesięcioletniego artystę skrzypka Kreisslera, który na konkursie pierwszą otrzymał nagrodę.

Opisywana kiedyś w „Wieczorach” pianistka Ilona znajduje się również obecnie w Wiedniu pod opieką księcia Czernina i kształci się dalej jego kosztem.

Oprócz wspomnianych wyżej osobliwości, zwiedziłyśmy wszystkie galerie obrazów, jako to Belweder, Towarzystwo zachęty sztuk pięknych i kilka prywatnych galerii. Byłyśmy w cesarskiej rezydencji letniej Schönbrunn i w Praterze. Jednym słowem zwiedziłyśmy wszystko co się dało.

Z Wiednia do Linz ponieważ pogoda sprzyjała płynęłyśmy Dunajem dla dokładniejszego poznania cudownych brzegów które żalby było koleją szybko ominąć. Dalej jechałyśmy koleją od granicy Szwajcarii i tu nastąpiło wielkie rozczarowanie, gdyż jadąc przez Tyrol za każdym piękniejszym widokiem mówiłyśmy „cóż to będzie dopiero w Szwajcarii!” Tymczasem w Szwajcarii góry uciekły na prawo a pozostały szerokie pola i łąki, w dali tylko zaokrąglone pagórki; widok piękny i wesoły co prawda, ale nie czarujący i porywający jak naprzykład na Arlbergu, gdzie oddech zamiera z razu z zachwytem.

Kolej przechodzi tam wysoko ponad ziemią a w dole, w cudownej kotlinie płynie potok szumiący i spieniony, otoczony grupami wysmukłych, ciemnych jodeł i szmaragdową murawą.

Gdzieniegdzie widać biały domek pasterza, przyczepiony do skalistej ściany jak gniazdo jaskółcze, lub wioskę rozrzuconą w dolinie, pod śniegiem okrytą górą. Nagle wszystko

znika, ciemność w około, tylko lampka tli się w wagonie, wjechałyśmy do olbrzymiego tunelu Arlberg. Dwadzieścia minut pędził pociąg w ciemności nim wreszcie wyjrzał na świat Boży. Odtąd już do samego Bernu nie napotkaliśmy nic coby zwróciło uwagę naszą.

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Strzeż się bracie — rzekł — jeśli ta wrona rozniesie po świecie sławę twój zrzeczności, to będzie wstyd!

— Większy wstyd będzie niezadługo, gdy ani jednej szyby szklanej w naszym zamku nie stanie — burknął Chrypka — i wprawić ich nie będzie za co, gdy tymczasem młoda księżna do wszystkich kościołów szyby sprawia...

— Cóż tam ta szalona kobieta za nowe głupstwo zrobiła, że ją tak ciągle masz na myśli? — spytał książe Henryk.

— Ktoży zliczył wszystkie głupstwa, jakie ta pani wyprowadza — powie burgrabia czy paż stary, czy przyjaciel, bo wszystkie te funkcje pełnił Chrypka przy młodych księżkach, umiejąc wkrącić się w ich łaski. I teraz, raz zapytany, umiał opowiadać tak zabawnie to, co „głupstwami młodej księżnej” nazywał, że księżęta pokładali się od śmiechu z początku, choć po chwili coraz chmurniej słuchać zaczęli. Chrypka opowiadał:

— Dopiero teraz pokazuje się jasno, ile księżna rozdała złodziejom i rozbójnikom, udającym lud zgłodniały w owym głodnym roku po odjeździe księcia Ludwika: rozdała 64,000 dukatów mości książe, to już sprawdzono, a sprzedała na to wszystkie swe dobra.

— Co? 64,000 dukatów? — krzyknęli obaj księżęta i aż zamilkli ze zdumienia, bo suma ta znaczna, była pod owe czasy daleko znaczniejszą jeszcze niż jest dzisiaj. Chrypka mówił dalej:

— Gdy już młoda księżna rozdała te pieniądze, wtedy przeciw woli panów radnych otworzyła wszystkie śpiczrze i składy rządowe, i osobiście pilnowała rozdawania codziennie pod miarą i wagą zapasów owych ludowi, a że nie wszyscy mogli mieć drzewo, aby piec chleb, przeto znów osobiście pilnowała pieczenia chleba u siebie w zamku wartburskim, i rozdawała go znowu codziennie wraz z gorącą polewką przeszło 900 ludziom, udającym głodnych.

— Ależ musiała wydać w takim razie chyba wszystkie zapasy! — wołali przerażeni księżęta *).

— Oczywiście, i jeszcze to nie starczyło — mówił dalej Chrypka — a wtedy czy wiecie, księżęta, co młoda ta pani robiła?... oto wraz z całym swoim dworem morzyła się głodem, aby tém, co sobie i swoim odjęła, żywić, ludzi, głód udających.

— Ależ taka dobroczynność to istne szaleństwo! — zawołał książe Henryk — jak można głodzić jednych, by drugich nasycić?

— A wiecie też panowie, że tam, gdzie był ten śliczny mały laszek na stoku góry zamkowej, tuż przy Wartburgu, księżna młoda założyła dom dla ubogich chorych...

— Co? tak blisko zamku? ależ zaraźliwe choroby mogą w takim razie dostać się do zamku i do dzieci brata Ludwika! — krzyknął książe Konrad przerażony, bo synowców kochał bardzo.

— E, toby nic jeszcze nie było, gdyby skończyło się na tém — rzecze Chrypka, głową smutno kiwając — ani byście zgadli księżęta, co ta nieszczęśliwa jeszcze robi; oto gdziekolwiek spotka chorego człowieka, choćby trędowatego lub cier-

*) Wszystko co się tu wzmiankuje o księżnie Elżbiecie „Gwiazdce Węgierskiej”, jest ściśle historyczne.

piącego inną, najstraszliwszą zaraźliwą chorobę, księżna kłęka przy owym chorym, i obmywa własnymi rękami, i opatruje jego rany, ku czemu nosi zawsze przy sobie naczynie z wodą i szmatki, a potem, jeżeli tylko ten chory może się jeszcze pomieścić w owym domu dla chorych, to bierze poprostu na ręce owego nędzarza, albo woła do pomocy swe panny, jeżeli są blisko, najczęściej pannę Gutę i zanosí chorego do owego domu...

— Ależ ta kobieta oszalała! pozaraża dzieci swoje! — wołali książęta.

— Ona musiała stracić rozum z wielkiego żalu po śmierci męża, naszego brata, księcia Ludwika! — powiedział żałośnie Konrad.

— Ależ, książę! — zawoła Chrypka — wszystko to działo się za życia naszego księcia, a teraz co dzień dzieją się gorsze rzeczy, oto dowiaduję się świeżo, że przy spodziewanym znów nieurodzaju rozkazała, jako opiekunka księcia Hermana II-go, posiadająca zupełną władzę z woli zmarłego męża, rozkazała, aby wszystkie dochody całej Turynгии szły na wyżywienie ubogiego ludu!

— Ta kobieta zgubi państwo całe i własne dzieci nędzarami uczyni! — zawołał Henryk — ona jest stanowczo pozbawioną zmysłów, tak być nie może, temu trzeba przeszkodzić, bo nareszcie i te nędzne dochody, zawarowane dla nas, jako dla młodszych braci przepadną w toni jej szaleństwa, i księżna matka nasza, wdowa Hermana I-go wraz z wnukami w nędzę popadnie; to jest okropność!

Tak mówiąc z gwałtownym niepokojem, książę Henryk wstał, zarzucił na siebie odzienię z pomocą Chrypki i żywo począł tam i napowrót chodzić po komnacie w namysłach.

— Co tu robić? Co tu robić? — zawołał nagle, stając przed siedzącym nieruchomie Konradem. — Dla dobra państwa i wdowy Hermana I-go i dla dzieci naszego brata, potrzebaby chyba uwiązać tę szaloną marnotrawnicę!

— Dzieci może pozarażać istotnie — szepnął Konrad zmartwiony — ale ani wiem, co na to poradzić, bo wszelka władza nad Turyngią do niej należy, wedle wszelkich praw Boskich i ludzkich.

— Otóż to nieszczęście! — zawołał Henryk.

— Wedle wszelkich, albo i nie wedle wszelkich... — mruknął chrypka.

— Co? — spytał Henryk — co przez to rozumiesz?

— To, o czém ja już nieraz książętom wspominałem — rzekł Chrypka — panowanie nad Turyngią należy dzisiaj do ciebie, książę Henryku.

— E — niechętnie syknął Henryk — ty zawsze jedno pleciesz, o tém jakiémś tam rozporządzeniu naszego prapradziada, na korzyść najstarszego z rodu; ale cóż znaczy twoja gawęda, zasłyszana od kogoś, gdy dowodów na to żadnych niema.

— A jeżeli są? — mruknął Chrypka, z podełba patrząc na Henryka.

Henryk wstrząsnął się cały:

— Jakie? gdzie? — zapytał gwałtownie.

— Chrypka, zwolna wyjął z zanadru pargamin i podał go Henrykowi. Zdumiony książę popatrzał na dokument i na brata, a ten wstał i zbliżył się, aby spojrzeć na ten pargamin zblizka. Synowie Hermana I-go otrzymali staranne wychowanie, lecz dwaj młodszy zeń korzystali, niż Ludwik najstarszy. Henryk zwłaszcza nie brał ksiąg do ręki, odkąd przestał być zmuszany do tego. Z téj to przyczyny spoglądał on teraz tak miłosiernie na brata, w odpowiedzi na co Kon-

rad zbliżył się i wpatrzył w dokument. Po chwili odczytał go zrozumiałej trochę, niż to uczynił karzeł.

(d. c. n.)

PROZA I POEZJA.

Miodu nie stawało, wita Wrzesień plastrem; już z głodu nie umrzesz, pracowita dziatwo! gospodarzu, woła do cię Bóg i ludzkość, daj sierocie chleba, daj wosk do kościoła! jeśliś zbierał plon jesieni sam dla siebie.

(Ułożyć z téj prozy dziesięć wierszy rymowych).

Łamigłówka zegarek.

(Od Orła z nad Wisły i Słowika dla Orła tatrzańkiego).



Znaleźć dwanaście wyrazów pięciogłoskowych, zaczynających się od litery R i ułożyć w kształcie zegarka, aby ostatnie utworzyły imię i przydomek króla polskiego. Znaczenie wyrazów: 1. Ptak, urządzający gniazdo misterne. 2. Przedmiot niezbędny przy kolejach. 3. Nazwa drapieżnego ptaka. 4. Największy skarb, człowieka. 5. Sławny mówca z Brunzbergu. 6. Rzeka w Europie. 7. Chwast pospolity. 8. Zrzeczenie się czegoś. 9. Przyrząd kuchenny. 10. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 11. Broń. 12. Często bywa na wojnie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Szarady:

Po — e — ta.

Łamigłówki kryształowej:

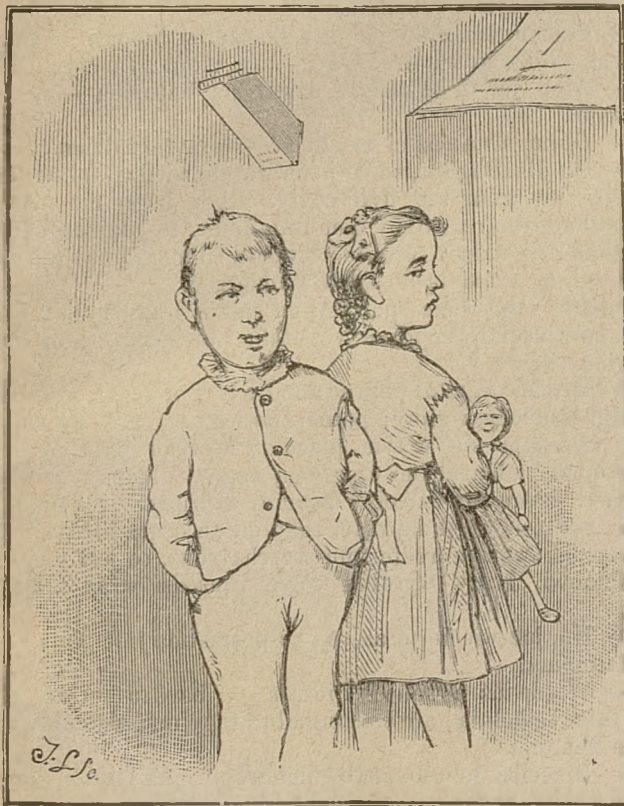
				K					
				D	O	N			
				T	E	C	Z	A	
	A	N	A	H	U	A	K		
M	A	G	D	A	L	E	N	A	
K	O	C	H	A	N	O	W	S	K
P	E	R	Ł	O	P	Ł	A	W	
	J	A	D	W	I	G	A		
			Ł	O	S	O	S		
				O	K	A			
						I			

TREŚĆ: Spotkanie (z drzew.). — Spracowana trójka wiersz (z drzew.) — Dorcia, powieść przez Maryą Świdorską (dokończenie). — O listach i tkómaczeniach A. E. Odyńca (dokończenie). — Korespondencya Wieczorów Rodziny. — Landgrafozna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Zarozumialcy (z drzew.). — Dwa kubeczki p. Jana Z. — Co się odwlecze, to nie uciecze komedyjka p. Maryą Pomorską. — Łamigłówka, rozwiązanie. Dodatek książkowy: Brat i siostra, powieść z niemieckiego.

ZAROZUMIALCY.

Leos i Anusia nie byli już małymi dziećmi i mieli iść do szkoły na rok przyszły. Przygotowani byli doskonale, bo serdecznie od dwóch lat pracowali pod kierunkiem przychodzącego nauczyciela i panny Wilhelminy nad tym przygotowaniem tak, że nawet nie doznawali wcale tej obawy, jaka pospolicie ogarnia dzieci na samo wspomnienie egzaminu. Byli oni tak pewni siebie pod tym względem, że postępowali nawet dalej w nauce, jakkolwiek tylko do pierwszej klasy mieli zdawać z woli rodziców, bo ojciec mówił:

— Nie chcę, aby od razu szli do klas wyższych, bo wtedy mimo nauki, choćby najlepiej byli przygotowani, przecież sa-



Popychali się w tej postawie...

ma nowa dla nich rutyna szkolna, sam porządek nauk odmienny od domowego z konieczności, utrudniały im zadanie; a gdyby tak zaczęli od trudności zawód szkolny, to te trudności mnożyłyby się im na każdym kroku i nauka cierpiałaby na tym. Otóż wolę, żeby zdali egzamin z łatwiejszego kursu, bo w takim razie będą mieli dużo swobody na pierwszym wstępie do szkoły i będą mieli czas przyzwyczaić się do niej, zanim nad nauką ślęczyć im przyjdzie, wtedy łatwiej dadzą jej radę, przywykły do szkoły i szkolnych różnych okoliczności. Uczyły się więc dalej dzieci z zamiłowaniem, a o egzaminie myślały z przyjemnością, czując, że będzie bardzo łatwym. Ale otóż z takiej pewności zaczęła się u dzieci wyradzać bardzo niemiła wada, zwana: zarozumiałością. Jest to wada dla tego mianowicie niemiła, że czyni człowieka nią dotkniętego nieznośnym dla jego otoczenia, a oprócz tego zdradza ona ni mniej ni więcej, jak tylko brak rozsądku. Bo na przykład co do Leosia i Anusi, to już każdy przyzna, że być zarozumiałym z tego, że się doskonale umie kurs na pierwszą klasę nauk, jest dowodem wielkiej niemądrości, bo jeżeli pierwszo klasista ma być ze swęj mądrości zarozumia-

łym, i nosek z tej wielkiej dumy w górę zadzierać, to jakże dopiero zadarłby go ten kto szkoły skończy i uniwersytet? a cóż dopiero powiedzieć o ludziach prawdziwie i głęboko uczonych, którzy różne zgłębili nauki! a tymczasem tak jest na świecie, że właśnie im kto jest naprawdę uczeńszy i mądrzejszy zarazem, tym bywa skromniejszy; tak jest z pewnością. Zarozumialec zaś często na śmieszność się naraża.

I tak też zaczęło dziać się z Leosiem i Anusią, odkąd nabrał brzydkiej wady zarozumiałości, mimo ostrzeżeń rodziców i panny Wilhelminy. Uczyli się przeciw zawsze swoją drogą gorliwie, wiedząc mimo zarozumiałości, że im jeszcze cośkolwiek do nauczania się pozostaje. Panna Wilhelmina między innymi, nie chcąc bardzo pędzić teraz w naukach, a za to rozsądek w dzieciach rozwijać, kazała im od czasu do czasu pisać wypracowania na zadany temat. Raz zadała Leosowi opisanie poważnego młodzieńca, a Anusi opisanie rozsądnej panienki. Dzieci zabrały się do pracy, jak zawsze z wielką ochotą, bo nawet lubiły pisać takie wypracowania. Wywiązały się też z zadania bardzo dobrze, opisały swych bohaterów tak, że każdy ojciec i matka życzyłoby sobie takie właśnie mieć dzieci, i styl był poprawny, i jasność myśli zupełna, a jednak panna Wilhelmina, oddawszy sprawiedliwość tym zaletom i samym wypracowaniom, rozśmiała się z uczniów swoich:

— Dla czego pani śmieje się z naszych wypracowań, kiedy powiada, że są dobre? — krzyknęli oboje razem, skacząc nauczycielce na szyję, i wydzierając ją sobie, bo byli swawolnicy, a ona nazbyt ich kochała i pieściła, jak to często zdarza się nauczycielkom i nauczycielom z pilnymi i grzecznymi uczniami.

— Nie z wypracowań śmieję się, tylko z was — odpowiedziała — a raczej z waszej tej nowej wady zarozumiałości.

— Albo gdzie tu jest zarozumiałość w wypracowaniu?

— Ale jest, jest, wygląda jak szydło z worka, nawet bez waszej wiedzy; zastanówcie się sami, że opisując waszych bohaterów, zrobiliście ich we wszystkich drobnych szczegółach podobnymi do siebie, nawet ubranie i uczesanie mają takie, gdybyście dodali, że są zarozumiałcami, portrety byłyby zupełne.

— No... ale bo też niech pani szczerze powie, czy ja nie jestem naprawdę poważnym młodzieńcem?

— A ja rozsądną panienką? tylko niech pani szczerze powie?

Panna Wilhelmina rozśmiała się szczerze istotnie, mówiąc:

— Poczekajcie, przypomnę wam to przy zdarzonej sposobności, a zapewniam, że nie będzie trzeba długo na nią czekać.

Dzieci pokręciły główkami figlarnie, udając obrażonych i poszły się bawić, a raczej „odetchnąć po umysłowych zajęciach” jak same to nazywały.

W pół godziny później panna Wilhelmina, zajęta przeglądaniem książek dla nich świeżo z poczty przysłanych, usłyszała zbyt żywą rozmowę w dzieciennym pokoju, spojrzała tam co prędzej i oto jaki ujrzała widok: Leos i Anusia odwróceni do siebie plecami, popychali się wzajemnie w tej postawie śmiesznej i troszkę nieprzyzwoitej nawet, stojąc na środku pokoju, i sprzecząc się gniewnie o jakąś drobnostkę. Wyglądało to tak zabawnie, że nauczycielka zanosła się od śmiechu, wołając:

— O poważny młodzieńcze! o, rozsądna panienko! czemuż nie przed zwierciadłem odbywacie te popisy powagi i rozsądku, abyście się ujrzyć mogli w tej chwili!...

Dzieci zawstydzily się, aż im uszy poczerwieniały, i spuściwszy noski na kwintę, poszły każde w inny kąt pokoju. Zobaczymy z czasem, czy ta *konfuzya* poprawi je z zarozumiałości.

K A S I A.

Kasia raz poszła po wodę do rzeki,
Lecz jęć się czerpać nie chciało.
„Konewka ciężka, dom taki daleki!”
Tak sobie dzweczmy myślało.
„Jakie te rybki — mówiła — szczęśliwe,
„Nigdy po wodę nie chodzą!
„Zawsze wesołe, swobodne ruchliwe;
„Wierzby od słonka je chłodzą...
„A gdy im chłodno, to na wierzch wypłyną,
„I wody mają dostatek!
„Lepiej być rybką, niżeli dzweczyną”...
Wtém się schyliła po kwiatek
I zobaczyła jako rybka mała
Płynęła szybko, by schwycić robaczka...
Już, już go chwytą, już go prawie miała,
A wtém odskoczy; zląkła się biedaczka,
Bo przy robaczku uwiązano wędkę...
W drugą więc stronę skręca i podąża,
Jest drugi robak, ma na niego chętkę...
Dalej więc za nim, powoli okrąża;
Śliczny robaczek, zaraz go uchwyci...
Siły wyteża, nawet ślinkę łyka,
Bo gdy go złapie, to głód nim nasyci.
Jest blisko przy nim, a ten znów umyka,
Skrzył się pod wodę; i niema zdobyć.
Lecz rybka płynie, może co napotka,
Robaczków dużo, wszak ich nikt nie zliczy.
Lecz za tą rybką płynie druga, płotka
I chwytą zdobycz; rybka się wciąż kręci,
Biegnie, chce chwycić, znów inna czatuje,
Każda chce chwycić, każda zdobycz nęci;
Każda się krząta, uwija, pracuje...
Żadna w próżniactwie nie przepędza życia,
Jedna za drugą bieży po głębinie.
Gdy jedna na dnie, to druga z ukrycia
Pod wierzch po zdobycz precieć wypłynie...
Kasia tak siedząc z konewką nad rzeką,
Na życie rybek ciekawie spogląda
A wreszcie rzecze: „Praca ich nie lekka”.
I odtąd rybka już zostać nie żąda.
Szybko więc wody z rzeczutki nabrała
I podążyła z konewką do domu.
Ochotę odtąd do pracy już miała
I nie skarżyła się nigdy nikomu.

DWA KUBECZKI.

Piotruś i Justynka chodzili często z mamą na spacer za miasto. Jednego dnia wyszli dosyć daleko, a droga przez którą przechodzili, była bardzo nie ładna. Piasku było tak dużo, że go się Justynce nasypało pełne trzewiczki. Po obu stronach drogi, były wprawdzie wzgórze, lecz w tych wzgórzach były pokopane doły. W jednym nawet z takich dołów stało dwoje ludzi i dwoma rydlami kopało ziemię, nakładając ją na furę. Ziemia była brudno-żółtawa, zeschnięta; czasami w bryłach większych i mniejszych, które gdy rzucono na furę, rozsypywały się w kawałki. Piotruś dziwił się bardzo, czemu taką zeschniętą ziemię kopia i czemu robią takie doły.

— To wcale nie ładnie z takimi dołami — mówiła również Justynka — jabym wolała, żeby zamiast tych brzydkich dołów, była piękna łąka, a na niej dużo, dużo kwiatów, jak tam, gdzieśmy wczoraj chodzili.

— Prawda — rzekła jęć mama — i mnieby się to więcej podobało, lecz trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że gdyby tylko wszędzie były łąki i kwiaty, toby także było nie dobrze.

— A tak, bo przecież muszą być pola ze zbożem i lasy — rzekł poważnie Piotruś.

— Nietylko, moje dzieci kochane, pola i lasy, lecz i taka oto, jak wy nazywacie brzydka ziemia i takie wzgórze nie porośnięte zielonością.

— A do czegoż one potrzebne? — zapytali oboje.

— W takich wzgórzach zwykle znajduje się glina, którą właśnie kopią ci ludzie, nakładają na furę i wywożą do miasta.

— A do czegoż to potrzebna glina? — zapytał Piotruś.

— Ja nigdzie tej gliny nie widziałam — dodała Justynka — i doskonale moglibyśmy się bez niej obejść.

— Już co to, to nie, zdaje mi się — rzekła matka.

— Ale obeszlibyśmy się, taka brzydka glina, nigdzie jęć nie widzimy — upewniała Justynka.

Matka nic nie odpowiedziała i poszła dalej, lecz zwróciła drogę w inną stronę, nie w tę, którą zwykle dzieci przechodziły.

— Mamo, co oni tam robią? — zawołał Piotruś, wskazując na dym wychodzący z niziutkiego kopca ziemi.

— Może się tam pali! — rzekła Justynka.

— A pali — odpowiedziała matka i skierowała się w tę stronę, z kąd dym wychodził.

— Czemu ten chłopiec tak skacze w błocie? — zapytał Piotruś, zbliżając się do owego kopca, z kąd dym wychodził.

— Albo ja to skaczę — ozwał się chłopiec — ja glinę mięszam.

— Glinę, a na cóż ci ta glina? — zapytały dzieci.

— Oh dla Boga, albo to państwo nie wiedzą, na co glina! a toby bez gliny nie było cegły, a bez cegły nie możnaby domu zbudować; a gdyby domu nie było, to gdzieby państwo mieszkali? — mówił wesoło chłopiec, deptając na wszystkie strony glinę, ażeby ją doskonale umięszać.

Piotruś i Justynka spojrzeli na siebie i zawstydzili się, że chłopiec wiedział, że glina jest taka potrzebna, a oni dotąd nie wiedzieli.

Właściciel cegielni poprowadził ich i pokazał, małe szare cegielki zrobione z gliny; potem powiedział, że te właśnie cegielki wypalają się w tym piecu, z którego dym wychodzi, a następnie wskazał im czerwoną cegłę, ułożoną w wielkie warstwy, którą już dzieci i dawniej widziały, lecz nigdy im nie przyszło na myśl zapytać, z kąd się ta cegła bierze? Mama podziękowała uprzejmemu strycharzowi, to jest temu rzemieślnikowi, który wyrabia cegłę i poszła wraz z dziećmi dalej.

— No, już wiecie teraz, na co potrzebna jest glina? — zapytała mama.

— Wiem już — mówił Piotruś — i bardzo mi się podobała taka cegielnia! ale to nie mało pracy nim się cegła zrobi i dom zbuduje.

— Przecież dom możnaby zbudować z drzewa — ozwała się Justynka, chcąc koniecznie obejść się bez gliny.

— Zapewne, a nawet bardzo dużo domów budują z drzewa, lecz ciekawam z czegożbyś zrobiła piec i kominy — rzekła jęć matka.

— A przecież piec są zwykle białe — mówiła uparcie Justynka.

— Cóż ztąd, że białe, przecież i cegła czerwona, a dlatego wyrobiona jest z gliny — ozwał się Piotruś.

— Masz słuszność, mój chłopcze — pochwaliła matka — a tak jak cegłę wypalają, żeby była czerwona, tak znów na kaflach dają polewę, żeby była biała. Tylko muszę wam powiedzieć, że na kafle używają już innej gliny, tak zwanęj fajansowej i porcelanowej. Na takiej zwyczajnej glinie, nie można dać pięknej polewy, czyli glazury. Z gliny robią garnki i taką nazywają glinę, gliną garnarską, z gliny zaś fajansowej i porcelanowej, robią talerze, wazy, półmiski, filiżanki, dzbanki i rozmaite naczynia, służące do codziennego użytku. Tak więc, w najbogatszym jak i najuboższym domu, glina jest konieczną.

— Przecieżby moja mamó można te wszystkie naczynia innymi zastąpić; sama mama mówiła, że garnki żelazne są daleko trwalsze, talerze, wazy i półmiski, mogłyby być blaszane lub szklane, a zamiast filiżanek doskonale obejść się można szklankami — utrzymywała uparcie Justynka.

— Prawda, moja droga, gdyby gliny nie było, musielibyśmy się bez niej obejść, gdy ją mamy, to nie zbyt przyjemnie byłoby jadać na blaszanych talerzach, a chociaż garnki żelazne są mocniejsze, zapomniałaś, że są droższe; a są ludzie, którzy nie mogą dużo pieniędzy, na domowe naczynia wydawać. Tak więc moja córko, nie trzeba gardzić ową szarą ziemią, z której tyle jest pożytecznych rzeczy i bez której rzeczywiście obejść się nie możemy.

Justynka zawstydzona umilkła, a po chwili Piotruś zapytał:

— Czy ta glina z której robią białe talerze i filiżanki także taka szara jak i ta, którą widzieliśmy za miastem?

— Tak mój synu i glina fajansowa i porcelanowa, również jest szara — lecz jest delikatniejsza, da się oczyścić z piasku i łatwo przyjmuje polewę.

— A czy to, w naszej okolicy jest taka glina? — zapytała Justynka.

— Nie moja córko, w naszej okolicy nie znalazłabyś ani gliny fajansowej, ani porcelanowej. Porcelanowej gliny brakuje w naszym kraju; fajansowa zaś znajduje się około miasta Koła w gubernii kaliskiej i około Ćmielowa w radomskiej, gdzie też są i fabryki wyrobów fajansowych.

— A czy to gospodarstwo, które dostałam od cici z wystawy przemysłowej w Warszawie, jest fajansowe czy porcelanowe? — zapytała Justynka.

— Ani fajansowe ani porcelanowe, tylko ze zwykłej gliny garncarskiej, ładnie zrobione i doskonale wypalone. Żebyście jednak pamiętali dzisiejszą naszą rozmowę — rzekła matka — wstąpimy zaraz wracając, do sklepu i kupię każdemu z was biały fajansowy kubeczek z fabryki krajowej.

Wkrótce weszli do miasta, a matka tak jak obiecała kupiła dzieciom ładne białe z czerwoną obwódką kubeczki. Tak się nawet zdarzyło, że były kubeczki z ich imionami. Piotruś więc i Justynka byli bardzo uszczęśliwieni z podarunku; doskonale pamiętali, że glina jest użytecznym materiałem, a pokazując kubeczki innym dzieciom, o tém opowiadali.

Jan Z.

Co się odwlecze, to nie uciecze.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSŁONIE.

przez Maryą Pomorską.

(Dalszy ciąg).

Scena IV-ta.

ADAŚ POTEM WALUŚ.

ADAŚ (siada przy stoliku przodem do sceny, bierze pióro w rękę i ogląda się za kałamarzem, który stoi tuż koło niego).

A gdzież to znowu podzieli ten kałamarz? (wstaje, chodzi po pokoju i szuka). To ten Waluś sprzątajac, pewnie gdzieś pochował. Jużto zawsze musi się mnie z czemś przysłużyć (idzie do drzwi i woła) Waluś! Waluś!

WALUŚ (wbiega).

Jestem do usług; a czego tam paniczowi znowu nie dostaje?

ADAŚ.

Gdzie kałamarz?

WALUŚ.

Hi! hi! hi! niech się panicz lepij o to u wróbla zapyta, co tam wedle okna świergoła!

ADAŚ (powoli).

Ej, Walusiu, porzuć te żarty, bo mnie nareszcie znecierpliwisz.

WALUŚ.

O! abo to panicz umie się rozniewać, (na stronie) to już zdarzenie takie byłoby chyba, kaj w tój bajce, co to „izba oknem wyskoczyła”.

ADAŚ.

No! i cóż tam stoisz, szukaj kałamarza!

WALUŚ.

Toć pójdziem szukać go razem; we cztery oczy zawdy łatwiej, jak jednemu (zanosi się nagle śmiechem i wskazuje kałamarz na stole stojący). Z wielkiem przeproszeniem panicza, czy też panicz widzi, że ma nos?

ADAŚ (z gniewem).

To mi mądre pytanie; ja mam nie widzieć własnego nosa!

WALUŚ (śmieje się zasłaniając usta).

A pewnikiem! kiedy panicz ot tego kałamarzyska tuż pod nosem nie widzi, to może i wedle nosa toż samo (wybiega).

ADAŚ (nadąsanym).

Ciągle mi się tylko wszyscy sprzeciwiają i stroją żarty jakieś nieprzyzwoite ze mnie; tak jakbym był czemś innem niż wszyscy; rarogiem szczególniejszym (zasiada po malutku przy stoliku i również pomalutku przysuwa kałamarz: macza w nim pióro, rozkłada książkę, i zaczyna pisać po chwili). Masz tobie! nie poliniowałem papieru, a bez linii zawsze krzywo piszę (bierze linię i ołówek i po malutku liniuje, po chwili wstaje i odchodzi do ściany). Zdawało mi się, że ten pajak spuszcza się z góry, a ciekawy jestem, do jakiego też gatunku należy (po chwili). Ej! to mi się tylko tak zdało, jeszcze się nie spuścił (wraca do stolika i znowu liniuje). Ot zaraz już i skończę, te przykłady (zaczyna pisać). Ale, ale prawda, przypominam sobie teraz, że mi mama mówiła trzy dni temu, abym na wypadek gdy wyjedzie, kazał przygotować ten pokój na górze dla pana Powolnickiego, co to przyjedzie tu na dni parę jakieś plany zdejmować (idzie do drzwi i woła) Waluś, Waluś!

WALUŚ (wpada przez drzwi, roztrącając Adasiu, z ogromną polewaczką napełnioną wodą).

Oła Boga. Pali się, pali.

ADAŚ (przestraszony).

Gdzie się pali?

WALUŚ.

Jaki panicz ciekawy, sam mnie woła, krzyczy, a ja chap! za konewkę, i wiele tchu stało, dudnię, aż się szyby trzęsą, bez wszystkie pokoje, bo myślę, co tu pożar, a panicz pyta jeszcze, gdzie się pali.

ADAŚ.

Jesteś dudek i kwita! idź powiedz Mateuszowi, aby przygotował pokój dla gościa.

WALUŚ.

Dobrze paniczu, dziękuję! (wybiega).

Scena V-ta.

ADAŚ, POTEM JANINKA I LUDKA.

ADAŚ.

I za cóż mi on dziękuje, przecie nic mu nie dałem, śmieszny chłopak! (wbiegają panienki).

LUDKA.

Już z góry dziękuję ci, kochany Adasiu, bo wiem, że zadania będą znakomicie rozwiązane, a teraz tylko poproszę, byś mi wytłómacz....

ADAŚ (znieczierpliwiony przerywa).

Dalibyście też pokój z tém ciągłem dziękowaniem. I jeden i druga dziękują niewiadomo za co.

JANINKA.

Jesteś niegrzeczny mój Adasiu.

ADAŚ (płaczliwym tonem).

O już tego nadto! jeszcze mi niegrzeczność wytykają, a przeszkadzają ciągle i chcą żeby zadania były zrobione.

LUDKA.

Jakto, to dotychczas nie wszystkie? a z godzinę już czekamy.

JANINKA (zbliża się do stolika i spogląda na książkę).

Ależ on wcale jeszcze nie zaczął.

LUDKA (wybucha śmiechem).

No! już jak nie będę chciała umierać, to kochanego Adasia po śmierć posłę, a ręczę, że on mi da żyć matuzalowe lata.

ANTOŚ (rozniewany).

Kiedy tak, to macie sobie książkę napowrót i rozwiązujcie

same, bo ja nie mogę tak, raz, dwa, trzy. To przecie rzecz namysłu.

LUDKA.

Ba! i jakiego jakiego jeszcze *(słysząc turkot wszystkie dzieci biegną do okna)*.

Scena VI-ta.

Ciż SAMI, POTEM WALUS I P. POWOLNICKI.

JANINKA.

Ciekawam, kto też to przyjechał?

LUDKA.

Patrzcie no, patrzcie, co to za figura, a jak też wysiada pomału. Nie, on chyba i do jutra nie wysiądzie.

ADAŚ.

To pewnie ten pan, co ma tu plany zdejmować *(odchodzą od okna)*.

JANINKA.

Co on tam robi, że tak długo do pokoju nie wchodzi; do tój pory już i trzy razy wysiąść można było *(słysząc niecierpliwiony głos za sceną: „a do wszystkich kacek i jendorów, kiedy się tyż tam jegomość z tego bryczyzka wygramoli”)*.

LUDKA *(śmiejąc się)*.

Oho! to Mateusz już się teraz niecierpliwi, bo konie trzeba odprowadzać do stajni.

ADAŚ *(wzruszając ramionami)*.

To nie do uwierzenia, żeby tak marudzić! *(panienki znacząco spoglądają na siebie, potem na Adasia, słysząc chrząkanie i zbliżające się kroki)*.

WALUS wnosi tłomoczek na plecach i stawia go na podłodze.

A tom się zhasał porządnie, aż mi pot dziurkiem leje się po twarzy.

JANINKA.

Gdzież ten pan, czemu tu nie wchodzi.

WALUS.

Hi, hi, hi! on pewnikiem drzwiów znaleźć nie może, bom go wpół sieni zostawił, a jeszcze go nie widać. Hi, hi, hi! jak tyło spojrzę na niego, tak mi się rychtyg panicz przypomina.

ADAŚ *(z oburzeniem)*.

A to dla czego?

WALUS.

Bo nieprzymierzając, to i ten pan, jakby tyło pajaków szukał po ścianie; obziera się wkoło, a marudzi, marudzi!

ADAŚ *(jak wyżej)*.

Co mówisz, to ja mam być pod.... *(wchodzi Powolnicki, człowiek w średnim wieku, pomału, szorując nogami; bez czapki i z kaloszem pod pachą, dzieci spoglądają na niego ze zdziwieniem, on się kłania)*.

P. POWOLNICKI.

Jestem Powolnicki.

WALUS *(na stronie)*.

O! to widać.

P. POWOLNICKI.

I przyjechałem tu na dni parę dla zdjęcia planów.

JANINKA *(podsuwa mu krzesło)*.

Proszę, niech pan siada; mamy niema, ale my tu na gospodarstwie, może można czemś służyć panu?

POWOLNICKI *(siada powoli)*.

Dziękuję, bardzo dziękuję *(do Walusia)* kawalerze położyć dziekielwiek mój kapelus (podaje mu kalosz).

WALUS *(przygląda się)*.

Z przeproszeniem pana, a gdzie drugi?

POWOLNICKI.

Jakto drugi? *(wszyscy się śmieją)*.

WALUS.

Dyć nie co innego a ino kalosz.

POWOLNICKI *(sposstrzegając pomyłkę)*.

Ach przepraszam, mój kawalerze, postaw go w przedpokoju i poszukaj mego kapelusza; tylko, że nie pamiętam na

pewno, czym w kapeluszu wyjechał z domu, to może go i nie znajdziesz.

WALUS *(do Janinki)*.

Z przeproszeniem panienci, czy ten pan chory na reumatyzm, bo się tak pomału rusza, jakby mu ogniście w rękach i nogach strzykało; rychtyg jak stariej Maćkowej, co się od roku z łóżka nie podnosi.

JANINKA.

Cicho, Walusiu, to niegrzecznie tak z kogoś żartować; idź lepiej, zobacz, czy prędko obiad będzie gotowy.

(Walus wybiega).

POWOLNICKI.

Oj to! to! *(szuka po kieszeniach)* nie włożyli mi pewnie chustki do nosa. Bo to panie rwetes! latania! a prędej, a żywiój; niby to człowiek z elektryczności, żeby tak jak ona śmigał po drucie, *(zwraca się do panienek)*. Ja zawsze mówię, że co się odwlecze, to nie uciecze *(do Adasia)* prawda, mój kawalerze? Już kiedy gdzie w drogę wyjeżdżać, to najmniej trzeba dni trzy, cztery do przygotowania się. Bo póki to człowiek myśli połapie, a rzeczy, a papiery poukłada, to nie lada panie robota.

LUDKA.

Jakże pan daleko ztąd mieszka?

POWOLNICKI.

Cztery mile, moja panienco, cztery mile, to wielka droga. To też wczoraj pod nockę wybraliśmy się z domu, a dziś o trzeciej po południu byliśmy ztąd o dwie wiorsty tylko.

ADAŚ *(na stronie, ruszając ramionami)*.

A to mi dopiero prędk człowiek!

POWOLNICKI.

I co woźnica utnie po koniach, to ja go powstrzymuję. On klnie na czém świat stoi, a ja mu perswaduję: kochanku, uspokój się, co się odwlecze, to nie uciecze! I cóż państwo powiecie; uspokoił się w końcu, bo sam uznał słusność przysłowia.

JANINKA *(na stronie)*.

Biedny woźnica; nie chciałabym być na jego miejscu.

(d. n.)

Homonymy.

Choć to bynajmniej nie jest moją winą, Śmierci, kalectwa, mogę być przyczyną. Mimo to jednak (często się to zdarza) Podporą bywam kaleki, nędzarza.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 33-go.

Łamigłównki geograficznój.

1. Etna.
2. Akra.
3. Odra.
4. Elba.

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻENSKIEJ

MARYA MATUSZEWSKA

w Warszawie, przy ul. Leszno Nr. 28, zawiadamia, iż zapis uczennic odbywa się codziennie od 9-tój do 5-tój. Kurs nauk rozpocznie się 20 Sierpnia. 4—4

SPROSTOWANIE.

Dodatek do N-ru 35 str. 138 wiersz 11 zamiast: Zanurza sie, brz aż miło, powinno być: Zanurza się dalej śmiało!